

ballada o pewnym teatrze i o jednym przedstawieniu



anka - małgorzata siatka,
benek cygan - przemysław bluszcz
fot. Augustyn

Małgorzata Wilczewska

dawno już chyba wokół jednego spektaklu nie było tyle szumu i krąco sprzecznych opinii. Ponad rok od premiery gorące w tonie dyskusje wciąż trwają. A przecież nie jest to kolejna premiera *Dziadów*... *Ballada o Zakacławiu* zdobyła w mijającym roku ważne nagrody: pierwsze miejsce w VII Ogólnopolskim Konkursie na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej, nagrodę im. Konrada Swinarskiego za reżyserię dla Jacka Głomba. Należy się spodziewać, że emisja telewizyjnej wersji przedstawienia podtrzyma to zainteresowanie.

Spektakl uznano za głos w dyskusji o ważnych problemach społecznych. Ci, którym *Ballada*... się podoba, chwala: oto pięćdziesiąt lat naszej powojennej historii przełożonej na doświadczenia lokalnej, legnickiej społeczności. Oto odmalowane z uczuciem życie, o jakim kapitalistyczna współczesność chętnie by zapomniiała: biedne życie robotników i złodziei, życie dzielnicy wyklętej, podobnej do tych, jakie istnieją na obrzeżach każdego dużego miasta. Przeciwnicy oskarżają *Balladę*... o clikowy sentymentalizm. Jaki więc jest ten spektakl, czy istotnie dotyka historii, rzeczywistości i co o nich mówi?

Zacząć chyba trzeba od miejsca, w którym przedstawienie powstało – tak mocno wyrasta ono z lokalnych uwarunkowań, więcej, jest konsekwencją pewnego pomysłu na teatr.

Działalność Teatru Modrzejewskiej w paru istotnych punktach odbiega od schematu egzystowania placówek kulturalnych w niedużych miastach, z którymi nieodmiennie kojarzy się marazm i bezruch. Jeśli Legnica jest dziś wyrazistym punktem na teatralnej mapie Polski, nie stało się to tylko dzięki *Balladzie*... Od paru lat zwyczajem teatru jest realizowanie przedstawień w różnych częściach miasta, przeważnie w budynkach, które mają pieczęć historii, niekoniecznie tej najdawniejszej. I tak *Pasja to jest historia Męki, Śmierci i Zmartwychwstania* (...) Jezusa

Chrystusa grana była w kościele ewangelicko-augsburskim, *Zhy* według Tyrmanda – w nieczynnej hali fabrycznej, *Koriolan* – w koszarach Armii Radzieckiej. Najnowsza premiera, *Hamlet*, miała miejsce w porzuconym i odrapanym budynku Wojewódzkiego Domu Kultury, który służył legniczantom jeszcze całkiem niedawno. Legnica wiele ma takich miejsc: niechcianych, niewygodnych – mówił wielokrotnie dyrektor teatru Jacek Głomb.

Również w samym wyborze dramatów, a bardziej jeszcze w sposobie ich interpretowania, da się zauważyć pewną linię. Najkrótszym określeniem byłaby może pasja historyczna, predelekcja do pokazywania człowieka w obliczu dylematów władzy i w ważnych momentach życia społeczeństw – nieważne, czy narzędziem do tego będzie tekst współczesny, czy Szekspir. Ostatnio zrealizowany *Hamlet* potwierdza tę obserwację.

„Teatr zaangażowany w rzeczywistość” jest nie tylko artystycznym wyborem, ale w pewnym sensie koniecznością. Kolejne premiery składają się na „być albo nie być” teatru oraz – w jakimś stopniu – miasta, które straciło status stolicy województwa. Pomysł na teatr okazał się skuteczny – najlepszy dowód to opinie mieszkańców miasta, którzy lubią swój teatr i uważają go za instytucję ważną i prężnie działającą.

Nic więc dziwnego, że w jednym ze spektakli miasto stało się bohaterem. Bohater ten przemawia głosem miejscowych legend i opowieści, na jego losy składają się losy poszczególnych mieszkańców i anegdoty z nimi związane. Materiał, z którego powstał scenariusz *Ballady o Zakacławiu* autorstwa Macieja Kowalewskiego, Krzysztofa Kopki i Jacka Głomba, został zebrany podczas spotkania z mieszkańcami dzielnicy. To jeden z powodów, dla którego widzowie odbierają spektakl bardzo osobiście.

Stary, zdewastowany budynek dawnego kina „Kolejarz” jest sercem legnickiej dzielnicy Zakacławie. Na dawno opustoszałej widowni zasiadają (jak ongiś) legniczanie, by uczestniczyć w seansie pamięci swego miasta. A zaczyna się on, jak kiedyś w kinie, urywkami autentycznej kroniki filmowej. Przed oczami widzów przesuwają się epizody końca wojny: ulicami wśród gruzów maszerują zaprzyjaźnione wojska, ludzie uśmiechają się, w mieście zaczyna się zwyczajne życie. Obrazki migają jak w kalejdoskopie.

To na pewno ważny spektakl dla lokalnej społeczności. Również dla osób niezwiązanych z Legnicą mogłaby mieć *Ballada*... siłę prawie że dokumentu, siłę prawdziwej historii. Mogłaby – ale nie ma. Pozostaje na poziomie sentymentalnej, trochę strasznej, trochę zabawnej opowieści.

Sporo było zakacławskich bohaterów-legend. W spektaklu ich losy połączono w biografiami kilku postaci: „złoty młodzieńców”, zajmujących się wszystkim i niczym (głównie złodziejstwem), miejscowych prominentów, milicjantów, ludzi przedmieścia. Szczególnie losy Benka Cygana (Przemysław Bluszcz) mają się stać symbolem dziejów Zakacławia. Jeśli jest tu jakaś fabuła, to traktowana z przymrużeniem oka, kojarząca się z ironiczną czarną komedią albo melodramatem. Niestety, nawet uwzględniając reguły tych gatunków, trudno nie zauważyć słabości przedstawienia, od scenariuszowych poczynając, na reżyserskich kończąc.

Teatr Modrzejewskiej w Legnicy

ballada o zakacławiu

scenariusz: Maciej Kowalewski, Krzysztof Kopka, Jacek Głomb,
reżyseria: Jacek Głomb, scenografia: Ewa Beata Wodecka,
muzyka: Bartek Straburzyński, konsultacja bokserka: Dymitrij
Lenkow, układ walk ulicznych: Leszek Jóźwik,
premiery: 7 i 8 października 2000, kino „Kolejarz”

Benka poznajemy we wczesnej epoce stalinizmu jako młodego gangstera zdobywającego szlify zawodowe. Z założeniami i spektakularnymi osiągnięciami lwowskiej szkoły kieszonkowców zapoznaje go repatriant ze Lwowa Tońko Kulka (Bogdan Grzeszczuk) udowadniając, że nie tylko znana matematyczna szkoła rozślawiła jego miasto. Historia Benka i jego kolegów składa się właściwie głównie z takich, mniej lub bardziej śmiesznych, anegdot i ciągnie się przez całe powojenne pięćdziesięciolecie. Publiczność ogląda mecz bokserski (żołnierze radzieccy kontra miejscowe cwaniaki), pojedynek pijacka Casablanki (mistrza szachowego) z posterunkowym MO, miejsce w romansie, śluby, bijatyki.

Czas upływa, bohaterowie zaś wydają się zanurzeni w mitycznej beczczasowości. Pragnienie, by pokazać powojenną historię Zakaczawia poprzez pryzmat kilku biografii, doprowadza do kilku niedorzeczności. Na postaciach nie widać mijających lat. Zmieniają się fakty dotyczące ich życia, ale wygląd i zachowanie pozostają te same. Benek, nie bacząc na swój potencjalny wiek, przeżywa w latach osiemdziesiątych swój pierwszy romans, żeni się i zostaje ojcem. Sympatyczna kapral Halina Gniazdko (Gabriela Fabian), której początki kariery w milicji obserwujemy w pierwszych scenach spektaklu (lata pięćdziesiąte), pod koniec (późne osiemdziesiąte) wygląda równie kwitnąco i zachowuje się równie naiwnie. Takich przykładów można wymienić więcej.

Filmowa niemal liczba epizodów przedstawienia wiąże się z wielością miejsc akcji. W olbrzymiej kinowej hali pomieszczono całą dzielnicę: na prawo w głębi bar i wysokie stolki (wnętrze knajpy), na lewo portret Lenina nad biurkiem (komisariat milicji). Kino „Kolejarz” raz jest kinem – za naszymi plecami Benek ze swą bandą komentuje głośno seans filmowy; raz znów ulicą, na której pojedynkują się miejscowe gangi. Pomysł ten sprawdza się tylko częściowo. Niektórym scenom, czy sekwencjom brak bliskości obrazu, jaką daje filmowa kamera; odległość i teatralna ekspresja pozbawia je charakteru.

Ballada... balansuje między realizmem a umownością, ogólnością a konkretem. Poszczególne elementy tworzą dysonanse, wywołując wrażenie niezdecydowania. Wyraźny, rodzajowy styl gry niemilo kontrastuje z dialogami, które już w pobieżnej analizie „na słuch” wydają się brzmieć fałszywie. Ich wypowiedzi są nienaturalne, daleko im do żywej mowy ulicy. Teksty grzeszą też dosłownością, jak na przykład ta rozmowa między Benkiem a jego siostrą, mająca ilustrować odwieczne okrucieństwo konieczności wyboru między racją serca a obowiązkiem patriotycznym: „– on jest Rosjaninem! / – a ja w nim widzę Łowę... / – a ja w nim widzę Rosjanina!”.

Szkoda, gdyż zespół legnicki na ogół dobrze wywiązuje się ze swoich zadań. Słusznie doceniony i nagrodzony został za swą kreację Przemysław Bluszcz, warto też wyróżnić Małgorzatę Urbańską za rolę Tierieszkowej, major KGB.

Z *Ballady...* najlepiej pamięta się poszczególne obrazki. Opowiastki te są trochę jak ze starych filmów: pocziwe, naiwne, wywołują śmiech, choć ich humor czasami trąci myszką. Stanowią największą siłę spektaklu, ale, paradoksalnie, decydują również o jego słabości. Niektóre z nich mają dobre tempo, iskrzą dowcipem, zaskakują pointą. Inne są nudne i sztuczne, jeszcze inne tak epizodyczne, że niepotrzebne. Epizody, drobnotki, rozsadzają spektakl, ich materia życiowa często jest zbyt wąta.

Dodanie całemu spektaklowi narratora w osobie niby uczestniczki zdarzeń Janiny Dębówny (Katarzyna Dworak), taksówkarki oraz fotografki-hobbystki, również dowodzi słabości scenariusza. W spektaklu Głomba narratorka stanowi wygodny sposób na zapchanie scenariuszowych dziur. To, co samo z siebie nie tworzyłoby historii, nie układaloby się w logiczną całość, zostało opatrzone odpowiednimi informacjami o upływie czasu, zmianie sytuacji i uwarunkowań. Wygląda to tak, jakby na parę scen brakło twórcom pomysłu. Jednocześnie narratorka opatruje niektóre sceny komentarzem, który często brzmi jak

najgorsza łopatologia. W rezultacie wiele w spektaklu tautologii, niepotrzebnego gadania, i z pewnością za dużo dydaktyki, co prawda przewrotnej – wszak pozytywnymi bohaterami są złodzieje – ale jednak. Poszczególnym sekwencjom brak siły dramatycznej, a już na pewno brak jej całości przedstawienia. Zbyt dużo zdarzeń, nawet jak na sentymentalną opowieść, daje się z góry przewidzieć, i właściwie momentami na widowni jest nudno.

Spektakl pointuje wyraźny symboliczny i konsolacyjny akcent. Przy dużym stole gromadzą się bohaterowie przedstawienia, aby wspominać wszystkich prawdziwych mieszkańców dzielnicy. Żli zostają potępieni – niewierna żona Benka, która zdradziła go wyjeżdżając na Zachód, nie zostaje przyjęta do grona biesiadników – inni zachowują łaskawą pamięć. Wspólnota feruje moralne wyroki – dawni bohaterowie, choć zbroje, są dobrzy, ci, co przyszli po nich, są już źli. Proste, jak to w baladzie.

Legnicki seans pamięci dobiega końca. Dla samych legniczan ma on znaczenie emocjonalne i marketingowe zarazem. Gra na dość powszechnym ludzkim sentymencie do „dawnych, dobrych czasów”. Przeszłość jest w *Balladzie...* świadomie idealizowana i pokazywana w perspektywie jednowymiarowej. Brak spektaklowi dystansu, z którego można zadawać pytania o prawdziwe przyczyny wielu zdarzeń. Aluzje łączące miejscowe dzieje z szerszą, ogólnopolską perspektywą, z losami narodu (jak na przykład cytowanie *Popiołu i diamentu* w zakończeniu) niczego nie dowodzą; widać bowiem, jak bardzo na siłę są wmontowane. Dlaczego dziś dzielnica Zakaczawie jest traktowana po macoszemu, dlaczego niszczycie, dlaczego świat, w którym nawet bandyci mają zasady, odszedł w niepamięć? *Ballada o Zakaczawiu* nie tyle nie daje odpowiedzi, co nawet nie próbuje stawiać tych pytań. Pokazuje tylko barwne obrazki, miłe, ale obrazki.

Z Legnicy wyjeżdża się z niepokojącą ambiwalencją uczuć. Trudno zaliczyć przedstawienie do artystycznych przeżyć, lecz trudno nie mieć szacunku do przedsięwzięcia tak odmiennego od standardowych propozycji innych teatrów. Trudno nie zauważyć zaangażowania i wiary, z jaką teatr jest w Legnicy robiony, i sympatii, z jaką jest odbierany.

Jacek Głomb mówi, że tylko teatr zmieniający rzeczywistość go interesuje. Jest w tym coś z siły manifestów niegdysiejszej alternatywy. Dlatego być może inicjatywa Głomba została natychmiast i entuzjastycznie podchwyciona przez środowisko teatralne (a raczej część tego środowiska), od dawna biadającą na to, że teatr zamyka się na rzeczywistość i zostawia ją „nie przedstawioną”. Przykład *Ballady o Zakaczawiu* pokazuje jednak, że wykształcenie teatralnego języka do mówienia o tej rzeczywistości nie jest procesem łatwym.

